

Wojciech Kaliszewski: Wczesne drogi Tadeusza Konwickiego

Nikt tak jak Tadeusz Konwicki nie umiał przedstawiać świata w jego rzeczywistej i zarazem nierzeczywistej postaci. Nikt nie umiał tak lekko i swobodnie pokonywać granic między zdarzonym i niespełnionym, realnym i zmyślnym. I nikt nie potrafił tak jak on wyprowadzać fabuły z przestrzeni własnej pamięci, własnych przeżyć i doświadczeń. Całe pisarstwo Konwickiego można by wobec tego uznać za rodzaj wyjątkowego i przybierającego różne formy raptularza, notesu czy szkicownika – pisze Wojciech Kaliszewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Konwicki. Historia i (mała) apokalipsa w trybie warunkowym”.

Konwicki-pisarz wywoływał nieustannie Konwickiego świadka historii, Konwickiego spod wileńskich okolic, z lasu, z rojstów, Konwickiego idącego Nowym Światem, zmierzającego Wiejską do kawiarni „Czytelnika”, przecinającego ulicę Mazowiecką, idącego ulicą Górskiego, Konwickiego młodego, dojrzałego, starego, obecnego i przemijającego. Właściwie wszystko, co napisał, cała jego proza dotknięta jest tym nigdy do końca nieprzepracowanym i niewyczerpanym autobiografizmem, przybliżeniami i oddaleniami własnych śladów, znaków i portretów. To przedstawianie i przywoływanie w połowie było fikcją, w połowie głęboko zakorzenioną w świecie prawdą. Czasami te płaszczyzny nakładały się na siebie w sposób doskonały, bez szczelin i pęknięć. Ale bywało i tak, że rysy na materiale opowieści stawały się wyraźne, mocne, że zamieniały się w

rozpadliny, które trudno było przeskoczyć jednym słowem. Konwicki nigdy zresztą nie używał słów kluczowych, wielkich, jednoznacznie rezonujących. Język jego prozy doskonale za to przylegał – i wciąż przylega - do świata niepewności, wątpliwości i zmienności. To była charakterystyczna cecha jego pisarstwa. Potrafił wyłapać ze świata sprawy i zdarzenia, które innym wydawały się drugorzędne i mało znaczące, ale on rozpoznawał w nich tropy ważne, prowadzące ostatecznie do odkrycia i odsłonięcia prawdziwych obrazów świata. Czasami jednak pisarz wybierał inny wariant. Szedł drogą okrężną, kluczył, uciekał od tego, co proste i klarowne, chował się i odwracał. Grał? Tak, to był rodzaj rozgrywki nie tylko ze światem, ale chyba przede wszystkim z samym sobą. Pisarstwo Tadeusza Konwickiego często porównywano i odnoszono właśnie do gry. On sam tak o tym mówił w jednym z wywiadów:

„A czy to nie jest po prostu tak, że wielokrotne sparzenie się uczy gry? Nie warto być frajerem. Poza tym – wróć tu do jednego z wcześniejszych Pana pytań – na mnie mógł się odcisnąć charakter Wileńszczyzny, jej ludzi i obyczajów. Być może nie tylko życiowe doświadczenia nauczyły mnie ostrożności, gry, błazenady? Wydaje mi się, że ta partia zwierzeń, którą przed Panem odsłaniam, jest zgodną rzeczywistością. Poza tym w moich grach częstokroć jest więcej prawdy niż w namaszczonych celebracjach innych.”

Konwicki wyraźnie bronił się przed zbyt prostymi ocenami. Chwytem obronnym, który stosował, była wspomniana Wileńszczyzna. Zasłaniał się nią jak tarczą. Paradoksalnie – i miał tego pełną świadomość – żywił się twórczo „ziemią utraconą”, powtarzając – oczywiście z zachowaniem właściwych proporcji – doświadczenia „wielkich poprzedników”. Był niewątpliwie późnym wnukiem filomatów. Trochę

jak Józef Mackiewicz, choć każdy z nich w swoim pisarstwie i swoim życiu to wileńskie, filomacko-romantyczne dziedzictwo rozumiał i przetwarzał inaczej. Ale przecież każdy, kto choć raz stanie w podwileńskich Werkach i spojrzy z wysokiej skarpy na płynącą w dole Wilję, będzie wiedział, o czym mówię. Tam romantyzm wciąż jest terażniejszością, obecnością i źródłem kształtującym duchowo-intelektualną kondycję człowieka.

Konwicki pisał, obserwował, patrzył, ale przede wszystkim toczył sam ze sobą spór o to – jak powiedział – „czy kiedyś się właściwie znalazłem.” „Kiedyś” to znaczy przed 1956 rokiem. To było jego wielkim problemem moralnym. Nie ukrywał, że uchodził za „pryszczatego” i że odbierano go jako „stalinistę”. Ten czas, końca lat czterdziestych i pierwszej połowy lat pięćdziesiątych starał się zamknąć w jakiejś racjonalnej i spójnej logicznie klamrze. W *Kalendarzu i klepsydrze*, a więc w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych szukał wytłumaczenia dla własnych wyborów ideowych, odwołując się do swojego wileńskiego rodowodu. Ale okres w którym napisał i ogłosił w 1951 roku *Władzę* nie daje się obronić. Konwicki wspominał – jak zresztą inni uwikłani w tamten czas – o „zaćmie umysłowej”. „Na swoim żelaznym, wileńskim kościecu - pisał – nosiłem grubą warstwę plasteliny i z przeróżnych powodów zezwalałem, aby ci, których świerzbią ręce, mogli do woli tę plastelinę miętosić.” To nie tylko smutna, ale i naprawdę dramatyczna samoocena. Z perspektywy czasu, po latach Konwicki patrzył na siebie jak na kogoś, kogo nie rozumiał, kto był mu zupełnie obcy. Niewątpliwie oznaczało to bardzo głębokie wewnętrzne pęknięcie, które nazwać trzeba kryzysem tożsamości, rozdwojeniem osobowości, zaćmą pamięci. Próbował oczyścić się z warstwy bezwolnej plasteliny. Ale to nie było – bo nie mogło być – łatwe i proste. Podjął tę próbę w *Kalendarzu i klepsydrze* mniej więcej w połowie lat siedemdziesiątych.

Książka ukazała się w 1976 roku i od razu wzbudziła duże zainteresowanie. Konwicki odsłaniał w niej nie tylko siebie, pisał nie tylko o swoim życiu i o swoim pisarstwie, ale pisał o ludziach, wydarzeniach i sytuacjach, które składały się na życie w powojennej Polsce. Pisał o polityce pojmowanej bardzo szeroko. Takie książki, trochę autobiograficzne, trochę plotkarskie, pełne anegdot i komentarzy odautorskich, ale dotyczące spraw ważnych. były otwarciem na świat mniej oficjalny, pozacenzuralny i przez to odbierano je jako autentyczne. W przypadku Konwickiego było to spojrzenie na ćwierć wieku własnego pisania, tworzenia oraz obecności w życiu kulturalnym i towarzyskim głównie Warszawy. A przeszedł w tym ćwierćwieczu, poczynając od przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych przez różne etapy aktywności twórczej. Od pierwszej wydanej w 1950 roku niedużej socrealistycznej opowieści *Przy budowie*, przez *Godzinę smutku* i *Władzę*. Moralnie, twórczo i politycznie to była droga prowadząca donikąd, ślepa i fałszywie wytyczona. Ale kiedy na nią wstępował, sądził, że porzuca stary i skompromitowany świat. „Urodziłem się i wychowałem – pisał o niej po latach – w kresowym, silnie zhierarchizowanym i patriarchalnym społeczeństwie. [...] Cześć dla hierarchii popychała więc nas do zdrady wobec hierarchii, a zarazem kazała szukać rozpaczliwie hierarchii.” Warto dodać: nowej hierarchii, nowego ładu, który uporządkowałby pobojuwisko pozostałe po wojennych i kresowych dramatach. Ale to nie usprawiedliwia faktu, że młody Konwicki znalazł się – obok między innymi Wiktora Woroszyńskiego – w kręgu budzących w środowisku literackim strach „pryszczatych”, wymierzających sprawiedliwość według partyjnych dyrektyw.

Potem zmieniły się perspektywy i hierarchie. Przyszła słynna „odwilż” polityczna. 1956 rok był dla Tadeusza Konwickiego, jak i dla innych polskich autorów punktem zwrotnym. Jak sam mówił, odczuwał zmianę

już nieco wcześniej, około 1954 roku, pisząc *Z oblężonego miasta*. A miał wówczas także gotową i wstrzymaną przed laty przez cenzurę powieść *Rojsty*.

W tej pierwszej powieści Konwicki starał się przeświecić sumienie człowieka, który zdradził, zaparł się swojej akowskiej przeszłości i przeszedł na stronę komunistów. Bohater Konwickiego w długim monologu, a właściwie spowiedzi – zeznaniu składanym przed urzędnikami imigracyjnymi opowiada o sobie, o dzieciństwie, o rzeczywistości, która go uformowała, ale którą porzucił dla nowej idei. Zeznaje, ale jakby sam przed sobą próbuje wytłumaczyć się z podjętych decyzji. A jednocześnie – opuszczając komunistyczną Polskę – bohater Konwickiego nie przekreśla swojego ideologicznego wyboru. To nie tylko paradoks, ale i zapętlenie, z którym Konwicki nie umiał sobie do końca poradzić. Przez różne warstwy tej opowieści przebija się przekonanie, że komunizm niesie w sobie nadzieję na sprawiedliwość i dobro. Chodzi tylko o to, by nie został wypaczony i zamknięty – jak uczynił to stalinizm – w murach „oblężonej twierdzy”.

Jeśli *Z oblężonego miasta* nazwać powieścią co najmniej naiwną i pokrętną, to *Rojsty* czyta się dzisiaj jako książkę pełną zakłamań i fałszywych obrazów. Konwicki pisał ją pod koniec lat czterdziestych. Wtedy, u progu wkraczającego do Polski socrealizmu, miała być dla autora przepustką do nowej rzeczywistości. „*Rojsty* – pisał Przemysław Czapliński – stanowiły tendencyjny pamflet wymierzony w partyzantkę ukształtowaną przez przedwojenne wzorce wychowawcze”. To bardzo mocny – dodajmy – i dosadny pamflet. Konwicki odcinał się nim od swojej akowskiej przeszłości i od tego wszystkiego, co formowało patriotyczne i obywatelskie postawy jego pokolenia.

Ta powieść ukazała się w 1956 roku, w chwili dla jej treści i przesłania całkowicie anachronicznej. Anachroniczny i tendencyjny był także jej język, zastosowany jako narzędzie budujące czytelny kontrast między „słusznym” i „niesłusznym” wyborem postawy:

Wracaliśmy jako bandyci. Jakiś siwy pułkownik, któryś tam z
rzędu piastujący stanowisko dowódcy AK, wyparł się nas,
choć jesienią zgodnym, patriotycznym jazgotem razem z
innym nieprzejednanymi wygonił nas do lasu.

Ominęliśmy zieloną, pulsująca nowym życiem Puszcę
Rudnicką. Płynął od niej śpiew pił traczy. Wyszliśmy na twardy
trakt.

Trakt w rzeczywistości okazał się grząskim bezdrożem, z którego
niełatwo było później się wydostać i na którym wielu rówieśników
autora pogubiło się całkowicie.

Po latach, w *Kalendarzu i klepsydrze* pisał, że „W 1956 roku runęła
moja nadpiłowana gałąź i ja razem z nią”. Z tego bolesnego upadku
Konwicki podniósł się i ostatecznie z „drogi donikąd” skręcił w stronę
ścieżki pełnej wprawdzie zakrętów, niejasności i nieostrych
perspektyw, ale była to już ścieżka własna, wolna od partyjnych
drogowskazów, mierzona rytmem własnych kroków. Wtedy nadszedł
czas na częściowe przynajmniej oczyszczenie, na ironię i ostrożność
wobec różnego rodzaju złudzeń. Pisarz wszedł jakby w inny wymiar,
mówiąc przy tym: „Dlaczego mam być mądrzejszy od czasu ja,

oduczony wiary w geniusz ludzki.” Było to prawdziwie sceptyczne i autokrytyczne wyznanie. Ale niewątpliwie Konwicki stawał się wówczas pisarzem na nowo narodzonym, świadomym swoich braków i zalet, gotowym jednak śmiało przekraczać przeszkody i bariery i – co najważniejsze – ponosić za to pełną odpowiedzialność w swoim ludzkim i pisarskim sumieniu. Trzeba przy tym podkreślić, że obraz świata, który będzie się pojawiać w następnych powieściach autora *Dziury w niebie* nigdy już nie stanie się przejrzysty, klarowny i jasny. Konwicki skoncentruje się na sobie, będzie wybierał i rozbudowywał narracyjnie sekwencje z własnej biografii, zamknie się w niszy własnych doświadczeń. Tam narodził się wydany w 1963 roku *Sennik współczesny*. Postawił w nim Konwicki wiele istotnych pytań, które domagały się prawdy w odpowiedziach. Pytał o granice między rzeczywistością i fikcją, dotykał – poprzez poetykę – kwestii naprawdę egzystencjalnych i zarazem codziennych, realnych. Poruszał – także potem w *Wniebowstąpieniu* – to, co wiąże się odpowiedzialnością za zło i dobro. Krok po kroku Konwicki wydostawał się na coraz szerszy i tym razem już naprawdę twardy trakt.

Wojciech Kaliszewski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
